

CZARNE EPIFANIE *NOCY I DNI*

KAROLINA CHYŁA\*

www.orcid.org/0000-0002-1053-1433

Tak się ta powieść nazywa. Tak pada akcent. Na ciemność, nie na światło; intymne, nie powszechne; sen, nie świadomość. Zwracał na to uwagę już Jan Tomkowski, gdy apelował:

Przyjmijmy [...] zawartą w tytule bezcenną wskazówkę. Dopuśćmy możliwość, że czytanie *Nocy i dni* okazać się może wyprawą w głąb ciemności, w mrok zwątpienia, a nawet podróżą do kresu nocy.<sup>1</sup>

To mocne słowa, przez lata nie wyparował z nich ton wyzwania. A przecież autor *Zamieszkać w bibliotece* nie był jedynym orędownikiem tej ciemnej sprawy. Nie był też pierwszy, wyprzedziła go bowiem sama Dąbrowska, wnikliwa komentatorka własnej twórczości. Wprawdzie co do tytułu myliła trop, utrzymując, że przesądził tutaj wzgląd na eufonię<sup>2</sup>; ale o Barbarze, postaci z upływem czasu wciąż sobie bliższej, pod koniec życia pisała w *Dziennikach* tak: „jest zapowiedzią wszystkich dzisiejszych niezadowolonych i podejrzewających życie o same najgorsze rzeczy”<sup>3</sup>. A o sobie, w kontekście swego pisarstwa:

Nikt nigdy nie rozpoznał, że mój „ optymizm ” jest po prostu [sic – dop. K.C.] wielkim wysiłkiem zachowania męstwa pomimo wszystko – To aż dziwne być tak nie rozumianą – Gdybym miała jeszcze czas na tym świecie, zaczęłabym wreszcie sama pisać o sobie.<sup>4</sup>

Rzeczywiście, w całym dziele Dąbrowskiej po wiele razy – jak mówi Janusz Sławiński – otwiera się „okno na świat odległy i niepokojący, na ludzkie dramaty

\* Karolina Chyła – doktorantka, Uniwersytet Wrocławski.

<sup>1</sup> J. Tomkowski, *W labiryntach „Nocy i dni”*, [w:] tegoż, *Don Juan we mgle*, Warszawa 2005, s. 187.

<sup>2</sup> Zob. M. Dąbrowska, *O paru słowach*, [w:] tejże, *Pisma rozproszone*, pod red. i z przypisami E. Korzeniewskiej, t. 2, Kraków 1964, s. 603.

<sup>3</sup> M. Dąbrowska, *Dzienniki 1914–1965*, pod kierunkiem T. Drewnowskiego, t. 12, Warszawa 2009, s. 47.

<sup>4</sup> Tamże.

rozgrywające się poza zrozumiałą i wyjaśnialną codziennością bohaterów”<sup>5</sup>. A nigdzie chyba, z przyczyn skądinąd jasnych, które można by nazwać „ilościowymi”, nie dzieje się to tak często jak w wielkim cyklu, w którym samych tylko opisów śmierci, skreślonych ręką lozańskiej przyrodniczki<sup>6</sup> dbalej o szczegół, a tak wrażliwej na powab Drugiej Przestrzeni, jest – ni mniej, ni więcej – 28<sup>7</sup>. Ta chęć przytrzymania, złowienia świata w chwili, gdy się objawia niepewność sensów, ich zmienność i gotowość na niespodziankę, szczególnie wyraz znalazła sobie w języku, z jakimś uporem nazywanym „neutralnym”. Podkreślał to przed laty Henryk Markiewicz, pisząc o wielości oksymoronów, o częstych „zspolegniach określeń sprzecznych, a w każdym razie dziwiących się swemu sąsiedztwu”<sup>8</sup>. Okazuje się zatem, że wyraz twarzy może być „pogodnie zatroskany”<sup>9</sup>, wzrok „wzgardliwie szydyczny” (NiD III, 150), a Wagner brzmi „niby groźna pieszczota” (NiD IV, 58). O paru takich osobliwych i tajemniczych aspektach książki uważanej za jedną z najmniej zawitych i najjaśniejszych w dziejach literatury polskiej chciałabym mówić. O tych, które z języka przeszły do świata, udowadniając, że granica jest płynna. O ile, ma się rozumieć, w ogóle jest.

#### ENFANT ZNACZY TERRIBLE, CZYLI NIEZNOŚNA DZIWNOSĆ DZIECKA

W *Nocach i dniach*, powieści znanej głównie lub wręcz wyłącznie jako saga rodzinna, dziecka i dzieciństwa jest, co zrozumiałe, naprawdę dużo. Tej obecności nie poświęcono chyba dosyć uwagi. Luki nie wypełnia nawet rozprawa Zofii Adamczykowej *Maria Dąbrowska. Ku dziecku i wychowaniu*, nacisk bowiem kładzie się tam bynajmniej nie na dziecięce portrety *Nocy i dni*, *Przygód człowieka myślącego* albo *Dzienników*, lecz na recenzje, czytanki, opowiadania skierowane do dzieci, przez autorkę *Przyjaźni* rozpoznawane jako co najwyżej margines pracy, jeśli nie jako uprzykrzona pańszczyzna<sup>10</sup>. Tymczasem sytuacja

<sup>5</sup> J. Sławiński, *Pozycja narratora w „Nocach i dniach” Marii Dąbrowskiej*, [w:] tegoż, *Dzieło – Język – Tradycja*, Kraków 1998, s. 135.

<sup>6</sup> Przez rok Dąbrowska studiowała w Lozannie. Potem zamieniła ją na Brukselę, przyrodę zaś na nauki społeczne i filozofię. Zob. np.: T. Drewnowski, *Rzecz russowska. O pisarstwie Marii Dąbrowskiej*, Kraków 2000, s. 46.

<sup>7</sup> Zob. T. Czapczyński, *Kompozycja „Nocy i dni” Marii Dąbrowskiej*, „Pamiętnik Literacki” 1947, s. 156.

<sup>8</sup> H. Markiewicz, *„Noce i dnie” Marii Dąbrowskiej na tle polskiej tradycji powieściowej*, [w:] tegoż, *W kręgu Żeromskiego. Rozprawy i szkice historycznoliterackie*, Warszawa 1977, s. 228.

<sup>9</sup> M. Dąbrowska, *Noce i dnie*, oprac. E. Głębicka, t. 1, Warszawa 2013, s. 391. Wszystkie cytaty podaję za tym wydaniem, korzystając ze skrótu NiD; cyfry rzymskie odnoszą się do tomów powieści, nie do woluminów.

<sup>10</sup> Z. Adamczykowa, *Maria Dąbrowska. Ku dziecku i wychowaniu*, Katowice 2005.

dziecka w *Nocach i dniach*, bo z konieczności tylko przy nich zostanę, sama dopomina się rozpatrzenia. Jest wielokształtna, o sto mil od sentymentalnej oczywistości. Dziecko bywa przyczyną rozważań, wzruszeń, czasem zachwytu, częściej czystego lęku (tego codziennego, podstawowego, ze sfery zdrowia i potrzeb elementarnych, i drugiego, nie tak „naturalnego”, lecz przemożnego, przybierającego postać życzenia, by rosło dobrze, mądrze, było wartością, „przyzwoitym człowiekiem”). Przede wszystkim jednak jest u Dąbrowskiej dziecko nie kimś, lecz czymś – zagadkową szczeliną, przez którą w sposób nieznoszący sprzeciwu wdzierają się czy wlewają chaos i ciemność, i katalizatorem, rozbudzającym chaos i ciemność w tych, którzy/które noszą je już w sobie i drżą przed nimi.

Oto Barbara, wychowana przecież i wykształcona na pozytywistyczną racjonalistkę i, jak się zdaje, w pełni taką wersję siebie akceptująca, odkrywa w sobie – albo raczej przed nami – całe składowiska nierozumnego, gdy w grę wchodzi jej dzieci, zwłaszcza w najwcześniejszym okresie życia (choć i później nurt ten nie zanika, staje się tylko mniej ostentacyjnie, ostro obecny). Niekiedy jest to sprawa ulotnej myśli, błysku obawy, który znika tak prędko, jak się pojawia; kiedy indziej – groza, niemal panika.

Bała się – czytamy więc o Barbarze, pielęgnującej szalonego powstańca wuja Klemensa – że on ją nagle jakim wybrykiem przestraszy albo że widok tej poszwankowanej na umyśle ludzkiej istoty wpłynie w jakiś sposób ujemnie na przyszłe dziecko.

Czasem wyśmiewała po cichu samą siebie za te myśli, tłumacząc sobie, że przecież w cechy duchowe niepodobna się zapatrzyć. (NiD I, 51)

A w fizyczne? – chciałoby się dopytać, bo rzeczywiście dziwne panuje materii pomieszanie w myślach Barbary, skłonnej bać się zarazem i magicznie, i pozytywistycznie (również dziedziczości jej lęk się chwytą; o tym za moment). Dziecka, któremu Klemens miałby zaszkodzić, wprawdzie nie będzie – zdawało jej się tylko, że była w ciąży – ale i o tych, które się realnie w jej życiu zjawiają, myśli tak samo.

A więc na przykład Tomaszek staje się płacziwy i chorowity. Barbara, która po wyjątkowo przykrych wymianie zdań odprawiła właśnie jego mamkę „o niemiłym, ponurym usposobieniu” (NiD I, 222), zaczyna drzeć:

- A może ona co temu dziecku zadała? Może jaki urok na nie ze złości rzuciła?
- Taka jesteś wykształcona i wierzysz w podobne rzeczy? – strofował ją Bogumił.
- Nie wierzę – odrzekła, ale nie mogła opędzić się tej myśli. (NiD I, 225)

Z nader żywą uwagą, bliską zarazem niechęci i fascynacji, podchodzi do ceremonii odczyniania, za namową kucharki i pokojówki odprawionego przez matriarchalnie dostojną starą znachorkę: chciała do niego nie dopuścić, ale uległa (zob. NiD I, 225–226). Skąd się to bierze? Co właściwie wyzwala ten mętny strumień silnych i sprzecznych uczuć? Odpowiedzi dostarcza po części

praca Magdaleny Joncy *Enfants terribles. Dzieci złe, złe wychowane w literaturze polskiej XIX wieku*. Za wyjątkowo w kontekście Dąbrowskiej atrakcyjne wypada uznać zawarte tam rozważania o szczególnej pozycji dziecka w folklorze – nie darmo rozpetany irracjonalizm Barbary-matki karmi się lękami i pojęciami o proveniencji niedwuznacznie ludowej. Otóż dziecko w folklorze to byt pośredni, przejściowy, jakoś otwarty, „nieswój” i niekompletny, podatny na interwencje nieczystych sił, dla których może stać się zarówno pastwą, jak i dogodnym medium ułatwiającym niszczycielską działalność (znowu szczelina), a równocześnie byt znikliwy i kruchy, stale zagrożony nieodwracalnym osunięciem się w to, z czego tak niedawno się wyistoczył, w przepaść nie-bycia. Stąd też dziecko jest obwarowane, zabezpieczone mnóstwem zakazów, wierzeń, praktyk magicznych (specjalną rolę gra w nich rzecz jasna matka), których zadaniem jest je uczłowiczyć, zjednać dla świata i z kolei jemu zjednać przychyłość potęg nadprzyrodzonych<sup>11</sup>. XIX-wieczne dziecko ziemiańskie (dziecko wielu kobiet – mamek i nianiek, a z czasem bon i domowych nauczycielek) – może, jak widać, budzić lęk i napięcia bardzo podobne, zwłaszcza że groźba czyhającej zawsze i wszędzie śmierci w jego przypadku także jest realna i oczywista. Pierworodny Barbary i Bogumiła, nad wiek dojrzały, otoczony powszechną miłością Piotruś, zmarł po krótkiej chorobie w wieku lat czterech. Wypadek ten odebrała Barbara jak osobistą przeraźliwą obrazę i cios w sam sens, nienaruszalną z pozoru podstawę świata. Dlatego trwałość życia innych jej dzieci jest dla niej źródłem wiecznej, zaprawionej lękiem, wdzięczności: już to, że żyły, że nie umierały, że powychodziły cało z tylu chorób, zdawało jej się tak wielką łaską z ich strony” (NiD II, 276). Nie tylko wielka, lecz i podejrzana to wszakże łaska – Barbara stale tropi w swoich dzieciach znaki niezdrovia, znaki nienormalności i zwyrodnienia:

– Czy one aby kiedy z tego wszystkiego powyrastają? To widać wszystko pochodzi z jakichś chorób, z jakiejś złej krwi, którą musiały odziedziczyć. Ja przecież widzę, że one są nienormalne. [...] A czyż to moi przodkowie chociażby nie żyli rozpustnie, nie pili, nie hulali? [...] wuj Klemens zwariował. [...] I o babce słyszałam, że miała napady melancholii. Raz nawet chciała sobie podobno życie odebrać i skakała do studni. [...] Nie, mój drogi, po co myśmy mieli dzieci! Myśmy powinni byli wymrzeć. (NiD II, 246; podkr. moje – K.C.)

W pierwszym tomie *Historii seksualności* Michel Foucault egzegezie poddaje ciało mieszczańskie – prawidłowe, wydajne, o krwi zdrowej, mocnej, dobrej jakości; jakość bowiem okazała się z czasem dla mieszczaństwa rękomią trwania, jak dla arystokracji błękitna czystość. Stąd też „rodziny nosiły i ukrywały swego rodzaju odwrotności herbów, gdzie na hańbiących polach widniały choroby i ułomności paranteli: porażenie ogólne dziadka, neurastenia matki,

<sup>11</sup> Zob. M. J o n c a, *Enfants terribles. Dzieci złe, złe wychowane w literaturze polskiej XIX wieku*, Wrocław 2005, s. 155–157.

gruźlica młodszej siostry, histeria czy erotomania ciotek, nieobyczajność kuzynów”<sup>12</sup>. Barbara, mimo ziemiańskich przeciw tradycji, w jakich wyrosła, jest w sprawach ciała pryncypialnie mieszczańska, dobre to pole dla jej imaginacji, nadaktywnej w dziedzinie tropienia nieszczęść.

Udręki innej, ale równie palącej, dostarcza myśl, na kogo (na co) każde z trojga dzieci się zapowiada. Każdemu jest co zarzucić. Zbyt obojętne. Zbyt nerwowe. Za dużo czyta. Za mało czasu spędza w domu. Wszystkie w gruncie rzeczy są chodzącymi rezerwuarami cech jawnie złych lub mocno ambiwalentnych, w najlepszym razie posuniętych do ostateczności i przez to samo rokujących klęskę w życiu dorosłym. I choć wyraźnie dotyczy to wszystkich dzieci, mistrzem budzenia w matce podobnych obaw jest oczywiście najmłodszy z trojga, Tomaszek, którego ze zdumieniem i przerażeniem odczuwa ona jako istotę dziką, dziwną i ciemną, niesamowitą w ścisłym freudowskim sensie:

Niekiedy trzymała go, dobrego, ułagodzonego, w objęciach lub na kolanach i pocieszała się: – Wszystko będzie dobrze. Przecież podobno z takich nieznośnych dzieci wyrastają najlepsi ludzie. – Wtem nagle z dna duszy podnosił się włosy jeżący strach, jakby nie syn, a jakiś obcy nieobliczalny stwór tulił się do jej serca. I coś jej złowrogo mówiło, że w tym wypadku nie powinna się odurzać dobrymi nadziejami. Ale ona powściągała ten strach, nie dawała mu do siebie przystępu, gdyż właśnie w tym jednym jedynym wypadku czuła się na siłach wierzyć, ufać i spodziewać wszystkiego dobrego. – Synu – powtarzała tylko – synu jedyny! Będziesz dobry! Będziesz człowiekiem? (NiD II, 245; podkr. moje – K.C.)

Będziesz, a więc nie jesteś. Może w przyszłości, chociaż nic w tym pewnego. Na razie – stwór. Kreatura, istota. Czarna materia. Ktoś, kto dosłownie wydobyty kiedyś z wnętrza Barbary, przychodzi teraz tulić się do jej serca, swój i jedyny, a zarazem nieobliczalnie obcy. Jak podmieniony. I znów prywatna mapa lęków, przeczuć, obsesji daje się przymierzyć do innych map, innych znanych skądinąd terytoriów. W folklorze sprawa dziecka nieudanego, niedobrego, trudnego – miała dwa końce i działała na zasadzie bliskiej samospełniającej się przepowiedni: dzieciom podrzuconym czy zamienionym o rodowodach nieznanymi i fantastycznymi zwykło się przypisywać wszystko najgorsze, w tym awanturniczość i okrucieństwo<sup>13</sup>; z kolei dzieci dziwnych i w jakimkolwiek sensie niepokojących (wyjątkowo brzydkich, chorych, cherlawych, ale też złośliwych i nieposłusznych) wypierano się jako „bogieniaków”, odmieńców, podrzutków właśnie<sup>14</sup>. Wszystkie te obrazy i ich tajemniczo-niezwykła aura odsyłają rzecz jasna do sfery baśni, toteż w jej kręgu dłużej się zatrzymamy. Czy i na ile Dąbrowska zdawała sobie sprawę z tych konotacji – trudno oceniać. Ani jako pisarka, ani, na ile można stwierdzić, osoba – nie była kimś, kogo by

<sup>12</sup> M. Foucault, *Historia seksualności*, przeł. B. Banasiak, T. Komendant, K. Matuszewski, Warszawa 1995, s. 111.

<sup>13</sup> Zob. M. Jonca, *Enfants...*, dz. cyt., s. 159.

<sup>14</sup> Tamże.

można nazwać człowiekiem baśni, w jakimkolwiek wymiarze: „nie mam zupełnie fantazji” – mówi rzeczowo i skwapliwie cytując bliską jej radę, którą dał Stendhal „jakiejś piszącej pani: «Kiedy opisuje pani mężczyznę, kobietę, krajobraz, niech pani zawsze myśli o kimś i o czymś rzeczywistym». Bardzo to usprawiedliwia mój sposób tworzenia – komentuje i wsparta autorytetem wyznaje wprost: – ja inaczej tworzyć nie umiem”<sup>15</sup>.

W Serbinowie, domu na wzór jej domu, baśnie nie odgrywają znaczącej roli:

Emilka miała bardzo niesamodzielną naturę. Musiała być zawsze do kogoś przyczepiona. Lubiła, żeby ją nosić, huścić, zaczepiać, trzymać na kolanach, nie mogła sama zasnąć, ktoś jej musiał zawsze do snu śpiewać lub opowiadać bajki, nawet kiedy była już na to za duża. (NiD II, 245)

Ten błahy na pozór fragment odsłania, myślę, rzeczy niemałej wagi, jeśli idzie o dzieci w świecie Dąbrowskiej. Po pierwsze: z baśni nie tylko się tam wyrasta, ale wyrasta szybko. Po drugie: baśnie mają cel pragmatyczny, muszą być pożyteczne, o ich cudowność raczej nikt się nie troszczy: nie są to opowieści, lecz opowiadki – można nimi zabawiać, można usypiać, ale istotnych treści chyba nie wnoszą. Wyobraźnia Dąbrowskiej, jak się wydaje, kształtowała się także bez ich udziału, a w każdym razie nie były one dla niej na tyle ważne, by wzmiankę o nich zawrzeć w reminiscencjach dziecięcych lektur; prawdopodobnie zatem, że te aspekty świata powieściowego, które powodują błyski podejrzeń o baśniowe filiacje, tkwią raczej w sferze nieświadomości dzieła niż uchwytne autorskiego zamysłu, co nie oznacza, że nie warto się podjąć ich szkicowego przynajmniej zarysowania i rozpoznania. Tomaszek to trzecie dziecko, znane nam dobrze z wielu baśniowych fabuł, w których, choć gorsze, słabsze, niewydarzone (często *expressis verbis* zwą je Głuptaskiem), w najlepszym stylu zwycięża braci-rywali. Dlaczego trzecie? W *Cudownych i pożytecznych* Bruno Bettelheim mówi:

W sferze nieświadomej, tak samo jak w świadomości, liczby reprezentują osoby: odnoszą się do sytuacji rodzinnych i zachodzących w rodzinie relacji. [...] W umyśle dziecięcym „dwa” odnosi się zazwyczaj do dwojga rodziców, a „trzy” do samego dziecka w relacji zachodzącej między nim a rodzicami (lecz nie między nim a rodzeństwem). Toteż niezależnie od tego, jaka jest pozycja dziecka wśród innych dzieci w rodzinie, liczba „trzy” odnosi się do niego samego [...] bo w podstawowych relacjach rodzinnych dziecko pojawia się jako trzecie, niezależnie od tego, czy jest najstarsze, średnie, czy też najmłodsze z rodzeństwa.<sup>16</sup>

Chociaż Tomaszek ten obiecujący status trzeciego ma, nie ma go jednak w sposób bezdyskusyjny, jest on w jego wypadku nieoczywisty, a to z powodu śmierci jednego z dzieci; biologicznie Tomaszek to dziecko czwarte, faktycznie – trzecie. Owa niejasność traci jednak znaczenie, kiedy wypada uważniej przyj-

<sup>15</sup> M. Dąbrowska, *Dzienniki 1914–1965*, t. 2, Warszawa 2009, s. 110.

<sup>16</sup> B. Bettelheim, *Cudowne i pożyteczne. O znaczeniach i wartościach baśni*, przeł., wprowadz., objaśn. i posłowiem opatrzyła D. Danek, Warszawa 1996, s. 174.

rzeń się temu, jak i co w powieści się o nim mówi; jest bowiem kimś, komu nie tyle wyznaczono w rodzinie szczególne miejsce (choć i to także), ile przez lata z uporem pokazywano, gdzie jego miejsce. Tomaszek spojrzenie ma „skupione i czujne, lecz jakos nie po ludzku, a tak, jak bywają czujne oczy zwierząt, gotowych do obrony lub skoku” (NiD II, 244). Nie jest to spostrzeżenie kogoś z rodziny, chociaż mogłoby być; wygłasza je narrator, skłonny otwarcie się solidaryzować z negatywnymi odczuciami postaci. Ma się wrażenie, że odzywają w powieści dawne motywy, które z literatury poczęły znikać – że opornie i wolno, to inna sprawa – wskutek romantycznego odkrycia dziecka, myśli niebezpiecznie zbliżone do tych, jakie wyrażał Sebastian Petrycy z Pilzna, utrzymujący, iż małe dzieci „żyją jako bydłota”<sup>17</sup>. Tyle że Tomaszek nie jest zwierzęcy wyłącznie z tego powodu, że jest dziecięcy; jako nastolatek – zresztą „nad wiek duży” i pełen wdzięku (zob. NiD IV, 16) – również potrafi stać się nagle przybyszem z innego świata, czego dowodzi reakcja świeżo przybyłej z zagranicy Agnieszki, która pewnego czerwcowego południa:

zobaczyła Tomaszka jadącego [...] klusem na nowej kaszance [...]. Unosił się na siodle prawie niedostrzegalnie i zdawał się być zrosnięty w jedno z koniem.

– Nie człowiek, tylko centaur – pomyślała z czymś w rodzaju przestachu. Siła i zręczność brata wydały jej się nie zaletą, ale zdrożnością, jakby prawo do tych, jeszcze przed chwilą tak cennych dla niej rzeczy, mógł mieć tylko ktoś w pełni rozwinięty duchowo. (NiD IV, 25)

Centaur nie jest tutaj, jak bywał nieraz, figurą melancholijną, znakiem aspiracji i niespełnienia. Wręcz przeciwnie: jest metaforą pełni. Nie ekstatycznej, jak choćby u Zuzanny Ginczanki, nie miłosnego jednoczącego związku ciała i myśli, ale pełni grzesznej, przeklętej, zdrożnej – by użyć słowa, do którego powraca często Dąbrowska. Centaur jest dla niej zdrożny z tych samych przyczyn, które go czynią pięknym w oczach Ginczanki: ludzkie i zwierzęce łączy się w nim, znika wszelka granica, wszelka różnica – a ten stan rzeczy jest, jak się okazuje, nie do przyjęcia<sup>18</sup>. Chłopak o oczach drapieżnego zwierzęcia, który już jako ośmiolatek na koniu jeździł „jak cyrkowiec” (NiD II, 456), zbyt wiele o tym braku granicy wie, aby można go było uznać za swego<sup>19</sup>. Ścisła komitywa zarówno ze zwierzęcością, jak ze zwierzętami to sprawa

<sup>17</sup> S. Petrycy z Pilzna, *O rządzie ojcowskim*, [w:] *Przydatki do Ekonomiki Arystotelesowej. Przydatek do dwojga ksiąg Ekonomiki Arystotelesowej to jest rządu domowego dołożniejszej nauki*, [w:] *Pisma wybrane*, t. 2: *Przydatki do Ekonomiki i Polityki Arystotelesowej*, Kraków 1956, s. 31–32; [cyt za:] M. Jonca, *Enfants...*, dz. cyt., s. 8.

<sup>18</sup> Zob. A. Araszkiewicz, *Centaur. Melancholia ciała i tekstu*, [w:] tejże: *Wypowiadam wam moje życie. Melancholia Zuzanny Ginczanki*, Warszawa 2001.

<sup>19</sup> Podobny obraz znalazł się i u Freuda: „niczym jeździec, który nie chce się oderwać od swego wierzchowca – często nie pozostaje mu nic innego, jak tylko jechać dalej tam, gdzie on go poniesie; <ja> zwykło przekładać w czyn wolę <tego>, jak gdyby była to jego wola” (S. Freud, „Ja” i „to”, [w:] tegoż, *Psychologia nieświadomości*, przeł. R. Reszke, Warszawa 2007, s. 232).

Innych, im przypisywana, odstępowana, zawsze komuś obcemu, komuś spoza mnie, spoza mojego świata.

Tutaj dygresja. Tomaszek, centaur grasujący w południe, znika tej nocy. Noc jest miłosa, może inicjacyjna, a partnerka bardzo nieodpowiednia. Chrobotówna, wiejska „gorszycielka” (NiD III, 22), „diable nasienie” (NiD IV, 29), które się nie starzeje (zob. NiD IV, 244), drobna i smukła, o zdumiewająco powiewnych i jasnych włosach, trochę cygańska ze swą barwną chustą i koleczykami, „nie zdająca się być prawie człowiekiem, a jakby stworem” (NiD III, 22), „nie idąca, lecz raczej wałęsająca się” (NiD IV, 14) obrzeżami świata *Nocy i dni*, to rzecz jasna mieszkanka i część nocy. Nocą, jak dziki kot, nawiedza miejsca za dnia mało dostępne, by je naznaczyć, a poniekąd zawłańczyć swą obecnością, którą Barbara odczuwa jako nieczystą, Tomaszek jako fizycznie fascynującą. Jej nieokiełznana, ciemna energia (wieczna dziewczęcość) zdaje się pokrewna równie nieokiełznanej i równie ciemnej wiecznej dziecięcości, sile Tomaszka.

Zwierzęcość (związana często ze sferą ziemi) to obszar, w którym zwykle nader swobodnie czuje się baśniowy najmłodszy syn. Zgodnie z animistycznym sposobem myślenia właściwym dziecku wszystko, co istnieje, jest nam pokrewne.

Jeśli nie pojmujemy tego, co kamienie, drzewa i zwierzęta mają nam do powiedzenia, to dlatego, że nie jesteśmy z nimi dostatecznie zestrojeni. [...] Dziecko jest przekonane, że zwierzę to istota, która je rozumie, tylko nie okazuje tego otwarcie.<sup>20</sup>

Stąd oczywista jest głęboka empatia brata-Głuptaska wobec owadów i ptaków w *Królowej pszczół*, skwapliwa pomoc, jakiej mu w *Trzech piórkach* udziela żaba czy w *Trzech językach* myśl nauki psiej, ptasiej i żabiej mowy, żeby pozostać tylko w strefie grimmowskiej, ważnej – jak wiadomo – dla Bettelheima. Jednak trzecie dziecko *Nocy i dni* nie jest, czego można by się spodziewać po kimś wyposażonym w te powiązania, w ścisłym kontakcie z własną nieświadomością. Wręcz przeciwnie: z licznych oskarżeń go o „hulaszcze i goniące jedynie za przyjemnościami życie” (NiD IV, 321) jasno wynika, że Tomaszek jest przez swoje popędy (chęci, zachcianki) w sposób absolutny zdominowany. Choć jako człowiek, w którym zwierzęce płynnie przechodzi w ludzkie mógłby wzorowo spełniać postulat Freuda: „gdzie było to, tam ma być ja”, jest zaledwie człowiekiem niedorobionym i niczym więcej.

Rzadko zdarzało się, aby się w domu śmiano albo cieszone z jego powodu. Najczęściej wywoływał gorzkie narzekania w rodzaju: – Tomaszek, nie kłam! Nie psoć! Nie rób na złość! Gdzie jesteś? Coś popsuł? (NiD II, 245)

<sup>20</sup> B. Bettelheim, *Cudowne...*, dz. cyt., s. 83–84.



Jak zauważa Zofia Adamczykowa, „Nie wiemy, czy zdaniem autorki owe odstępstwa od norm postępowania są uwarunkowane genetycznie, czy też są wynikiem wpływów środowiskowych lub błędów wychowawczych”<sup>21</sup>. Kwestiom tym nie poświęca Dąbrowska wiele uwagi. Jest jednakże pisarką metafizyczną i w jej stosunku do ludzi, których stworzyła, przetrwał ślad myśli, że zarówno szczęśliwe, „promieniotwórcze”<sup>22</sup> cechy usposobienia, jak inklinacje do wszelkiego rodzaju błędów i zwątpień dane im są „niejako «przedustawnie»”<sup>23</sup>, wedle formuły Włodzimierza Maciąga. Tomaszek to przede wszystkim dziecko i już z tej racji należy mu się w świecie *Nocy i dni* pewien brak zaufania i bystry nadzór. Jest też podejrzewany o nienormalność, tym więc gęstsza staje się jego ciemność – nie jedynie dziecięca, lecz i szalona – czyniąc delikwenta tym bardziej godnym obserwacji uważnej i wyteżonej. Zarazem jednak przeciwstawia się temu sam tekst powieści, gdy sugeruje (a dzieje się tak nierzadko), że cały problem z Tomaszkiem to brak problemu, jego własny, godny ubolewania brak złożoności:

Agnieszka miała wrażenie, że ten chłopiec, zdający się żyć tylko swymi zmysłami i mięśniami, jest jakby na poły głuchy i ślepy. I że nawet w dostępnej zmysłom rzeczywistości nie dostrzega ani cząsteczki tego, co stanowi jej treść. (NiD IV, 24)

Był jedynakiem, pani Barbara tak chciała go kochać i pieścić, a tak rzadko można sobie było wobec niego na serdeczność pozwolić. (NiD II, 245; wyróżn. moje – K.C.)

Chciała, ale nie mogła, a gdyby mogła, prawdopodobnie by sobie na to nie pozwoliła. Co jej przeszkadza? Chyba po prostu fakt, że Tomaszek nie jest synem dobrym, lecz marnotrawnym (NiD IV, 41); można być wobec niego skłoną do ofiar, pragnąc nawrócenia, pragnąc namiętnie, czuć „zastrasząco lubą gotowość” (NiD II, 456), by mu poświęcić wszystko ze szkodą innych, ale nie można kochać bezwarunkowo.

Wróćmy do Emilki; ma, jak wiadomo, naturę „niesamodzielną”. „Musiała być zawsze do kogoś przyczepiona” – mówi narrator. Dziecko spragnione fizycznego kontaktu, tkliwości, pieśczoł, któremu trzeba śpiewać i opowiadać, nie jest w powieści czułe czy towarzyskie, jest natarczywe, męczące i zbytnie dziecinne. W świecie Dąbrowskiej nie ma dzieci kochanych bezwarunkowo. To, które było kochane najbardziej z czworga, zmarło, jak się zdaje z tej samej racji, która umożliwiła miłość do niego – było doskonałe i było pełnią (zob. NiD I, 105), bytem skończonym i samowystarczalnym, sumą właściwości najpożądanych: jednocześnie wrażliwe i przedsiębiorcze, skłonne do odkrywania świata na własną rękę i przywiązane. Właściwie nic nie trzeba z nim było robić i dlatego można by

<sup>21</sup> Z. Adamczykowa, *Maria Dąbrowska...*, dz. cyt., s. 147.

<sup>22</sup> Zob. M. Dąbrowska, *Kilka myśli o „Nocach i dniach”*, [w:] *też*, *Pisma...*, dz. cyt., s. 583.

<sup>23</sup> W. Maciąg, „Noce i dnie” *Marii Dąbrowskiej*, [w:] *Lektury polonistyczne: Dwudziestolecie międzywojenne. Druga wojna światowa*, t. 2, pod red. R. Nycza, Kraków 1999, s. 136.

zrobić wszystko. Piotruś nie był skondensowaną dziwnością i tajemnicą – tak jak Tomaszek, nie domagał się ciągłej obecności – tak jak Emilka, ani utwierdzenia w byciu wartością – tak jak Agnisia. Kochano go więc powszechnie.

Miał [...] to do siebie, że kto na niego spojrział, rad był go już mieć ze sobą zawsze. Każdemu się zdawało, że oto, czego mu w życiu brak – takiego właśnie Piotrusia.

– Zostań ze mną! Jedź z nami! Zostań z nami na zawsze! – od iluż to ludzi Piotruś słyszał te słowa, które mówi się do dzieci często, ale które do niego zwrócone brzmiały jak prośba z głębi tęskniących serc. (NiD I, 105–106)

Był hermetyczny, idealnie pełny i wykończony wzbudza pragnienie, by się w jego wsobność wdrzeć sposobem, miłość w jakimś stopniu to umożliwia. Był nierówny, ułomny, z samej swojej natury tkwiący w relacjach (takie są pozostałe dzieci Niechciców) nie usłyszy nigdy powyższych wyznań ani żadnych podobnych, nie są dla niego.

Co robić z dzieckiem, które nie jest pełne, czyli gotowe? Jak je wychowywać, skoro nie można tego trudu uniknąć? Bogumił, który rzadko zabiera głos, myśli: „dosyć, gdy rodzice starają się żyć uczciwie, aby dzieci, co przy nich wzrastają, wzrastały zacnie i dobrze” (NiD II, 454). Trudno jednak stwierdzić, że metoda taka zdała egzamin, skoro sformułowanie owego *credo* staje się możliwe dopiero wtedy, kiedy ostatecznie wychodzi na jaw, do czego zdolny jest – ośmioletni zaledwie – syn marnotrawny (kradzież sakiewki ojca). Inni opiekunowie reprezentujący podobny model także okazują się nieskuteczni, jak Jerzmanowski, młodzieńczy i koleżeński, nie próbujący oddziaływać przykładem ani dystansem – przeciwnie: chcący nade wszystko zdobyć ufność Tomaszka. Źle się też kończą próby udomowienia, jakie przeprowadza z nim Maria Hłasko, czuła entuzjastka wierząca święcie w wartość materiału, w którym pracuje: pod jej łagodnym i roztargnionym okiem chłopiec, a potem chłopak robi z (nie)powodzeniem, co tylko zechce.

Czy więc Dąbrowskiej poemat pedagogiczny miałby być pieśnią na chwałę stanowczości i dyscypliny, a nie wzajemnej bliskości i zrozumienia? Innymi słowy: czy autorka *Przyjaźni* skłonna by była swego niepoprawnego dziecięcego antybohatera zamknąć w Mettray? W jakimś Mettray laickim, w którym nie figurowałby już na ścianie napis „Bóg was widzi”, ale przekaz inny, mający trafić nie tyle do kolektywu, ile do indywidualnego penitenta („ludzkość na ciebie liczy”)?

Jedno jest pewne. W świecie *Nocy i dni*, zgoła tak jak w listach świętego Pawła, żywiołom poddane jest dziecko<sup>24</sup>. A że nie można zgodnie z Pawłową radą go wyswobodzić, napominając, by Bogu i rodzicom było posłuszne<sup>25</sup>, trzeba sobie radzić jakoś inaczej, prawdę rzekłszy: nie bardzo wiadomo jak,

<sup>24</sup> List św. Pawła do Galatów, 4,3; [pod. za:] M. Jonca, *Enfants...*, s. 180.

<sup>25</sup> List do Tymoteusza, 3, 4; [pod. za:] M. Jonca, *Enfants...*, s. 180.

bo i pokusa przejrzystych wytycznych silna, i chęć respektowania cudzej wolności, również tej żywiolowej i małoletniej, także nie słaba.

Zmienną, huśtawkową naturę dziecka ze zbożną zgrozą kontemplował Feliks Dupanloup, autor traktatu *Dziecię* (wyd. pol. 1873), dobrze znanego pedagogom XIX wieku. Cytował w nim uwagę świętego Bernarda, przekonanego, że dzieci to „naczynia pełne szpar, przez które wszystko ucieka”<sup>26</sup> (wyróżn. moje – K.C.) i sam przyznawał, że o dzieci troszczy się o tyle, o ile nauczył się ich bać<sup>27</sup>. „Ty boisz się własnych dzieci” (NiD III, 255) – woła Bogumił w nagłym przyływie pasji i rozżalenia, kiedy Barbara zapowiada z rozpaczą swą interwencję w niepokojące zachowanie Tomaszka. Czy lęk o dzieci – a nie tylko Barbarę ten lęk dotyka – jest równocześnie także lękiem przed nimi?

„W CHAOSIE TAK ZWANEJ RZECZYWISTOŚCI”<sup>28</sup>,  
 CZYLI JAK SIĘ SKRĘCA BICZE Z PIASKU

Wiadomo już, co się z dzieckiem w tekście Dąbrowskiej robi, jak jest opowiadane i oceniane. A co się dzieje z tekstem i światem tam, gdzie samo dziecko myśli, mówi, ocenia? Sprawa nie jest prosta; również dlatego, że – trzeba tę oczywistość wydobyć na jaw – dzieciństwo bohaterów i bohaterek *Nocy i dni* jest wciąż na nowo przychwytywane przez powieść w swoim znikaniu, w swojej wiecznej przemianie, w ruchu ku młodości i dorosłości, i wciąż na nowo trzeba obrysowywać kształty tej tajemnicy, której nosicielem i nosicielką jest każde z nich. Stosunkowo najłatwiej, co również jasne, wydobyć obcość dziecka kilkulatniego, które już mówi, ale ta mozolnie klecona mowa z miejsca ujawnia, że to przybysz, nieswój, ktoś z innych stron. Oto rozmowa Barbary z najstarszym synem – jakkolwiek Piotruś byłby zachwycający i ukochany, to w końcu dziecko, a dziecko musi tutaj prędzej czy później spełnić swą rolę rozsądnika dziwności:

- A czy żaba może być taka duża jak mamusi pantofel?
- Nie. A zresztą są kraje, gdzie żyją żaby większe niż u nas.  
[...] – Takie większe jak drzewo?
- Nie, co znowu, takich żab nie ma, synku, na świecie.
- A takie – pytał mimo to – jak cały las?
- [...] Następnie, potykając się o słowa i myśli, zaczął gwarzyć:  
– Bo jakby żaba była taka duża jak las. Większejsza... większa – poprawił się – od lasa, toby tego... toby las był w tej żabie. W brzuchu – podkreślił złowieszczo. – I my by... to... i my byśmy szli z mamusią i myśliśmy by...  
– Myślelibyśmy – wygładziła pani Barbara.

<sup>26</sup> F. Dupanloup, *Dziecię*, Warszawa 1873, s. 238; [cyt. za:] M. Jonca, *Enfants...*, dz. cyt., s. 261.

<sup>27</sup> F. Dupanloup, dz. cyt., s. 259; [cyt. za:] M. Jonca, *Enfants...*, dz. cyt., s. 261.

<sup>28</sup> Zob. M. Dąbrowska, *Czy piękno zobowiązuje?*, [w:] te j e, *Pisma...*, dz. cyt., s. 124.

– ślelibyśmy, że to jest nie zaba... My nie wiedzielibyśmy! Mamusiu?! Czy las może być w brzuchu u żaby?

Pani Barbara zaśmiała się i nagle zdjęła ją śmieszna zgroza. – A nuż dzieje się to wszystko w istocie w brzuchu obrzydliwej żaby. Czyż ludzie nie mogą być robakami we wnętrzu jakiegoś potwora?

– Fe! – wykrzyknęła. – Co też ty wygadujesz! (NiD I, 113–114)

Gdy dziecko mówi, rzeczywistość odkształca się nieuchronnie. Jego język, ciemny i nieporadny, pełen zapętleń i powykręcanych dziwacznie słów, podsuwa wizję wewnętrznych ciemnych przestrzeni, śliskich korytarzy, ciasnych przesmyków, posplatanych, skręconych robaczycy ciał. Lepiej, gdy dziecko tańczy. Składna, wdzięczna precyzja celowych ruchów, czysta i lekka, usposabia widownię i do podziwu, i do rozbawionego współuczestnictwa. Piotruś tańczący w pewnym przynajmniej stopniu przywraca ład, który Piotruś mówiący zdołał nadwątlić. Zdarzeniem, które pozwala Barbarze stwierdzić, jakim bezmiarem nieusankcjonowanego niczym chaosu umie być wszystko, w czym dotychczas szukała jeśli nie sensu, to choć szansy na sens, jest śmierć Piotrusia, najbezwzględniejsza z powieściowych katastrof, prawdziwa katastrofa założycielska. Gdyby przeżył, miałaby Barbara czworo dzieci, w tym dwoje *d o b r y c h* i tylko jedno *k o c h a n e*. Po jego śmierci pierwszym i najważniejszym, a w jakimś stopniu jedynym dzieckiem Niechciców jest Agnieszka, zastępująca po trosze zmarłego syna, przynajmniej Bogumiłowi, w którego oczach

zdatna jest do wszystkiego, taki z niej człowiek, na jakiego zapowiadał się niegdyś Piotruś. Pani Barbara nie lubiła jednak porównywania kogokolwiek z dzieckiem, które – najpierw było nad wszelkie porównanie, a potem – umarło tak wcześniej. (NiD IV, 7)

Barbara słusznie widzi w najstarszej córce Niechciców, dziecko Bogumiła, w tym stanie rzeczy upatruje źródła niepokojących cech jej usposobienia, to po ojcu – twierdzi – wzięła Agnieszka brak uczuciowości, brak inklinacji do głębokich przywiązań (por. NiD I, 207).

Kim jest dziewczynka o oczach „ważnych i życzliwych”, której „uśmiech zdawał się być rozumiejącym coś, czego jeszcze Agnieszka rozumieć nie mogła” (co mianowicie?) i która „jednym wydawała się wątła i wiotka”, podczas gdy równocześnie „inni mówili, że jest silnej budowy” (NiD II, 245)? Owa dwoistość sięga dalej i głębiej, nawet tam, gdzie – jak podejrzewam – nie miała sięgać. Oto Agnisia, ulubienica narratora, od wczesnego dzieciństwa – tak się nam mówi – i niezależna, i spolegliwa zarazem, tak widzi swoje miejsce w rodzinnym domu:

Agnisia [...] wszędzie i zawsze znajdowała dość rzeczy, które ją zaprzętały. [...] Ale wołana do zabawy rodzeństwa przychodziła i brała w niej udział. Gdyż bała się, że o ile nie pójdzie, to nikt nie będzie chciał z nią przestawać, nikt nie będzie jej lubił. A wtedy wszystko, cały Serbinów, całe życie tak pełne uciech, tak pełne rzeczy godnych miłości na każdym kroku, odwróci się od niej, zniknie, a ona zostanie na zawsze sama i nieszczęśliwa. I nieraz patrzyła ze strachem, jak Emilka

dąsa się, kaprysi, tupie i woła: – Ja nie chcę! Ja nie będę się bawić! – Ona by się na to nie zdobyła. Stosowała się w zabawie do wszystkiego, co chcieli drudzy, i nawet gdy miała ochotę, by coś wypadło inaczej, nie sprzeciwiała się, tylko mówiła:

– No, dobrze!

Chwalono ją też za równe, zgodne usposobienie, ale i ona wpadała czasem w awanturniczy nastrój. A wtedy nie tylko sprzeciwiała się wszystkiemu, co drudzy robili, ale zdawało się, że nie cierpi rodziców i rodzeństwa za to tylko, że byli, jakimi byli. Tak jakby brała w niej nagle górę inna, druga natura i jakby wszystko, w czym znajdowała zazwyczaj tyle upodobania, zaczynało ją nagle męczyć i razić. Przywodziła wszystkich do rozpacz, zwłaszcza że trudno było zrozumieć, o co właściwie jej idzie, a na koniec oświadczała, że się utopi. Na szczęście te burze zdarzały się nieczęsto, a po każdej z nich Agnisia sama czyniła, co mogła, by o nich zapomniano. (NiD II, 247–248)

Awanturniczy nastrój. Druga natura. Ale co w takim razie z naturą pierwszą, tą rzekomo właściwą i autentyczną? Dlaczego fakt, że ktoś owładnięty lękiem przed odrzuceniem bierze bez słowa udział w niechcianej grze, ma się nam podobać – bo przecież ma, tak jak ów żarliwy okrzyk „No, dobrze!”, którym Agnisia zagłusza krnąbrną pokusę, żeby coś (cokolwiek) szło po jej myśli? Agnisia wie, co należy powiedzieć i mówi „dobrze”. Wyczekująco patrzy w oczy tych, którzy chwalą za „zgodne usposobienie”, a ze strachem na siostrę, która nie mówi tego, co mówić trzeba, która w ogóle nie mówi: dąsa się i kaprysi, tupie i woła. A kiedy pracownicy wznoszona wewnętrzna tama jednak ustąpi, kiedy łzy się poleją, słowa posypią, kiedy sprawnie dotąd dławiony sprzeciw wybuchnie wreszcie negacją wręcz absolutną, ostatecznym ich celem stanie się dojmujące pragnienie zniszczenia siebie. Trudno było zrozumieć, o co jej chodzi; jak to możliwe, że „wszystko, w czym znajdowała zazwyczaj tyle upodobania – słodycz, potulność – zaczynało ją nagle męczyć i razić”. Do jakiego stopnia było to dziwne, gorszące i karygodne nikt nie wiedział lepiej niż właśnie ona. Na „szczęście te burze zdarzały się nieczęsto, a po każdej z nich Agnisia sama czyniła, co mogła, by o nich zapomniano”. Zatrzeć złe wrażenie. Samej zapomnieć. Odpracować, odsłużyć, przeprosić za to, że choćby przez krótką chwilę czuło się coś, co nie było należnym wyższej instancji konglomeratem wdzięcznej pokory i trwożnego respektu. Sporo lat później, jako kilkunastoletnia już pensjonarka, słuchając tego, co ciężko chora matka mówi w gorączce, „Agnieszka drętwiała, nie wierząc wprost własnym uszom. Odgadywała jakąś upokarzającą tajemnicę w życiu rodziców. [...] było jej przykro, jak bywa komuś, kto zobaczył swoich przelotnych w roli zwyczajnych, ułomnych ludzi, mających jakieś swoje osobne sprawy, wcale niebudujące” (NiD III, 369; wyróżn. moje – K.C.).

Na razie jednak nie ma jeszcze Agnieszki. Jest Agnisia, a w niej i wokół niej rzeczy osobliwe:

Było to wczesną wiosną, w marcu [...]. Znajdowała się sama w mieszkaniu, zajęta, zdaje się, czytaniem czy rysowaniem, a na dworze była ślota. Wiatr szamotał ogrodem, domem, oknami, szyby zalane były wodą, a świat za nimi zdawał się zamazaną, obcą, przykrą szarością. W pokojach nie było nikogo, [...] i Agnisię raptem przeraziła ta cisza, w której rozlegały się tylko chrobot i szum niepogody. Popędziła do kuchni. Z kuchni też wszyscy wyszli.

[...] Pod blachą czerwieniało zarzewie, [...] śmietanka trochę kipiała. Kożuch dobywał się przez wierzch, spływał po bokach garnuszka [...]. Agnisia nie znosiła kożuchów. Spojrzała z obrzydzeniem na tłusty kipiący przysmak i czym prędzej wróciła do pokojów. Ale tam portrety dziadków Ostrzeńskich patrzyły na nią wyraźnie, prosto w oczy i to do reszty odjęło jej otuchę. Było jej tak, jakby się znalazła wśród nieznanego świata zajętego czymś swoim, czego nie rozumiała. Nie miała się o co oprzeć, nie miała się gdzie schronić, nie miała ku czemu wyciągnąć ręki. Wydało jej się to wszystko czymś podobnym do śmierci, o mało nie zaczęła krzyżeć i tupać nogami jak małe dziecko [...]. (NiD II, 266)

Marzec, wczesna wiosna. Nieprzypadkowo chyba na opadanie zasłon, pęknięcie osłon, prezieranie tego, co tajemnicze, wybrany został w powieści właśnie ten czas, niedookreślony czas zatrzymania, kiedy po końcu nie nastąpił jeszcze żaden początek. Świat, który zwykle przedstawiał się Agnisi jako „źród cudów” (NiD III, 114), traci wtedy skórę i niewinność. Pozbawiony wdzięku (gracji i łaski), szarzeje, zamazuje się, niemal znika, jest obcy, przykry i dokładnie to samo dzieje się z domem, który, ograbiony ze swej swojskości, staje się *unheimlich*, nie-domowy, a więc niesamowity. Rozlegać się w nim może jedynie cisza, w którą wpadają odgłosy dysonansowe, hałas tła bez treści, mniej więcej taki, jaki wypełnił sklep wujenki Ostrzeńskiej, gdy zachwalany klientowi gramofon nagle „umilkł i słyszeć było tylko syk igły po kręcącej się z szumem płycie” (NiD IV, 134). Agnisia, jakby w poczuciu, że dom nie mógł jej przecież z upełnie zdradzić, biegnie do kuchni, do serca (a zarazem żołądka) domu, do paleniska z jego macierzyńsko przyjaznym ciepłem – tylko po to, żeby z uświęconej przestrzeni wypchnął ją wstręt, potężniejszy od czyhającego w pokojach strachu wstręt do kożucha. Na kożuch, „przysmak” obrzydliwy i pożądany, patrzeć nie można<sup>29</sup>. Tu na moment wypadnie nam się zatrzymać. Skąd u Agnisi odruch obrzydzenia aż tak gwałtowny? Przeszła ona przecież jakiś czas wcześniej swoją inicjację w sferę abiektu, inicjację bezwzględną:

[...] po raz ostatni zaprowadzono dzieci na próg pokoju, w którym leżała babcia. Bił stamtąd duszny zapach wędnących akacji pomieszany z obcą, słodką i mdłą wonią, od której dziewczynki pobladły. [...] Agnisia pociągnęła ojca za rękaw i szepnęła:

– My nie widzimy babci.

Ojciec schylił się i chciał ją podnieść do góry, ale pani Barbara rzekła raptem: – Zostaw, zostaw, to straszne. I zakrywszy twarz ręką, wycofywała się z tłoku. Bogumił spojrział i ujrzał, że z prawego nozdrza żółtej, boleśnie zaostrojonej twarzy, spoczywającej w kwiatkach, zaczyna wybiegać opornym, zatrzymującym się strumyczkiem gęsta, brunatna ciecz. [...]

– To straszne – powtarzała pani Barbara, gdy się z dziećmi znalazła na powietrzu.

– Co straszne? Mamusi, co się stało? – usiłowała dowiedzieć się Agnisia.

Zobaczyła nagle, że matka płacze, i zamilkła.

Ojciec przyszedł na nie wyjrzeć.

– No nic – powiedział. – Na takie gorąco rozkład wcześniej się zaczął. Musimy zamknąć trumnę. Ja już takie rzeczy nieraz widziałem. (NiD I, 235–236)

<sup>29</sup> Por. J. Kristeva, *Potęga obrzydzenia. Esej o wstręcie*, przeł. M. Falski, Kraków 2007, s. 9.

Prawdopodobne, że wypadek z kożuchem, wpleciony w łańcuch wrażeń niesamowitych, których Agnisia doznała niespodziewanie, właśnie owemu wmontowaniu w sekwencję zawdzięcza siłę, z jaką go doświadczyła; odosobniony nie wywołałby może wcale wrażenia lub wywołałby niewielkie. Sama zaś sekwencja siłę oddziaływania zawdzięcza temu, że jej dziwność i groza wzięły się z wewnątrz w stopniu więcej niż znacznym, były efektem pracy rozwibrowanej wyobraźni, którą wprawiły w ruch czynniki zewnętrzne same w sobie nienapawające raczej szczególnym lękiem: nieobecność (chwilowa) domowników i niepogoda. To, czego atak przetrzymała Agnisia nad trumną babci, to Realne<sup>30</sup>, trauma nieunikniona, zbyt porażająca w swojej nagości, by symbolizacja mogła ją objąć i by wyobraźnia mogła z niej wycisnąć więcej (przestrachu, wstrętu, trupiego soku) niż zawierała, będąc bezpośrednio dana, taka jak jest. Zauważmy: właściwie nie sposób stwierdzić, kto tę scenę ogląda, czy punkt widzenia tutaj obowiązuje. Niechcicie raz są matką i ojcem, jakby narrator zdecydował się przyjąć optykę dzieci, raz Barbarą i Bogumiłem, niezależną parą bohaterów. Język, którym ma zostać opowiedziana scena traumatyczna, rozdwojony w sobie i pomieszany, nie opowiada jej, bo nie obejmuje, nie może objąć jej przerażającej intensywności; scena wystaje poza jego granice jak ciało obce, którym jest i którym nieodwołalnie musi pozostać.

Wróćmy do opowieści o pustym domu. Porażona wstrętem Agnisia wybiega z kuchni, wraca do pokoju i tam traci resztki pewności siebie, skonfrontowana z przenikliwym wzrokiem dziadków Ostrzeńskich, którzy patrzą na nią ze swych portretów. To te portrety, ożywione zniemacka, wciągają dom, a wraz z domem Agnisię, trzymającą się dotąd ostatkiem sił, w całkowitą, skrajną niesamowitość, niesamowitość bez nadziei na wybawienie: bo od momentu, w którym do akcji wkraczają żywe portrety, Agnisia przestaje się czegokolwiek spodziewać, przestaje liczyć na interwencję z zewnątrz, wie, że jest sama w sposób absolutny – stąd myśl o śmierci<sup>31</sup>. I właśnie wtedy, gdy upiorność sceny i jej napięcie stają się fizycznie nie do zniesienia, kiedy wrażenie, że coś musi to przerwać, jest najsilniejsze, wszystko się kończy, urywa równie raptownie, jak się zaczęło.

Drzwi do jadalni i do pokoju ojca otworzyły się jednocześnie. Wracano gromadnie na podwieczorek. Co za radość!

– Gdzie wyście wszyscy chodzili na taki deszcz? – wykrzyknęła, skoczywszy ku nadchodzącym.

Pani Barbara była szalenie zdenerwowana. [...] Gniewała się na młodsze dzieci, że przemokły, i na Agnisię, że nie wyszła się przejść. Gniewała się, że jeszcze nie nakryte do podwieczorku [...] Gdy już wszystko było gotowe, zaczęła rozpaczać, że kawa stygnie, a dzieci znów gdzieś przepadły. I ojciec też nie przychodzi, daje tylko zły przykład! Dzieci tymczasem

<sup>30</sup> Por. np. S. Žižek, *Przekleństwo fantazji*, przeł. A. Chmielewski, Wrocław 2001, s. 137–138.

<sup>31</sup> S. Freud, *Niesamowite*, [w:] *Pisma psychologiczne*, przeł. R. Reszke, Warszawa 1997, s. 237, 238, 240.

nadciągnęły właśnie z pokoju ojca. [...] Ojciec zaraz za nimi przestąpił próg jadalni, ale matka nie rozpromieniła się na jego widok. Przeciwnie, jeszcze bardziej zwiędła i poszarzała.

– Znowuście mi zimna do domu nanieśli – rzekła wrogo, gdyż od ojca wiało deszczem i chłodem.

Ale on odpowiedział pogodnie:

– [...] Daj rękę.

A gdy nie dała, położył na stole parę pierwszych mokrych, stulonych fiolków. (NiD II, 267–268)

Powrót rodziców nie umożliwia wejścia w świat uładzony, w mocny i sterylny świat praw i ról. Symboliczne, które oferują, jest zarażone brakiem, okaleczone. Matkę gniewa wszystko bez wyjątku chyba przez to samo, że istnieje, i Agnisia nie może tego nie widzieć. Kawa stygnie w zastraszającym tempie. Ojciec nie wraca. A gdy wreszcie przychodzi, wnosząc z sobą falę mokrego zimna, nie cementuje swoim przyjściem porządku. Matka, zupełnie zwiędła i poszarzała, wita go wrogo, a on na darmo stara się ją rozbroić, składa, spłoszony, przebłagalną ofiarę i nie chce pojąć, że ta, której ją składa, wcale jej (ani jego) nie chce. I jakby tego wszystkiego było nie dosyć, dzień ten kończy się nocą wielkiej choroby – Barbara po raz pierwszy cierpi na serce. Wątpa, umowna, ciągle zagrożona stabilność domu znika jak cień, niszczycielska realność zawłaszcza wszystko.

– [...] widzicie, że mamusia zachorowała – powiedział [ojciec; dop. mój – K.C.] [...] i od tych słów dom stanął jakby nagle otworem. Wszystkie niebezpieczeństwa nocy wdzierały się do wnętrza i nawet koło lampy zdawało się być ciemno. (NiD II, 331)

Nietrudno stwierdzić: nie ma w rzeczywistości Agnisi miejsca, gdzie z pewnością nie dotrą bezkształt i nonsens; wielkie osaczenie zjawia się wtedy, gdy ciśnienie niesamowitego jest już rzeczywiście zbyt dolegliwe. A kiedy źródłem skrajnej niesamowitości staje się to, co zasadniczo powinno być fundamentem ładu i sensu, doprawdy nie wiadomo, gdzie by się schronić:

myśl o Bogu przyprawiała ją często o rozpacz i przerażenie. Katechizm i historia święta każały jej wyobrażać Go sobie, mimo że niewidzialnego, jako osobę, starca z brodą i w powłóczytych szatach. Postać ta, rozmnożona w miliardy swych sobowtórów, miała nadto być wszędzie i na każdym miejscu. Straszne pytania rodziły się w związku z tego rodzaju obrazem Boga Ojca. Bo jakże można w takim razie uniknąć bezczeszczenia Go na każdym kroku. Gdzie On się podziewa, czy dokąd się usuwa w takich chwilach i z takich miejsc, w których w żaden sposób nie powinien być obecny. Albo czy jest w przedmiotach, w naczyniach, w zwierzętach? Agnisi włosy nieraz powstawały na głowie od tych pytań, tłoczących się wbrew woli. (NiD II, 449)

Że te pytania nie przechodzą bez echa, to zrozumiałe. Odmienione, coraz bardziej dorosłe, powracają uparcie co pewien czas, by nawarstwić się wreszcie w ostatnim tomie, w scenie rozprawy dorosłej Agnieszki z księdzem, ku jej rozpaczcy odbieranym zresztą jako życzliwy, a z którym ona nie może się porozumieć; nie bez znaczenia wydaje się tutaj fakt, że to przy okazji tej właśnie



sceny, którą Drewnowski nazwał „Improwizacją *Nocy i dni*”<sup>32</sup>, pada maksyma: „niemożność porozumienia się z drugim człowiekiem jest jedną z najcięższych mąk życia na ziemi” (NiD IV, 177).

– [...] Bóg – peroruje podniecona Agnieszka – to siła, która tworzy, tworzy z nieprawdopodobną płodnością. I niszczy. Ale czy ta siła jest dobra albo zła? Po prostu siła, nieosobista i niemogąca tworzyć nieśmiertelnych dusz osobistych...

A zgromiona przez księdza za to bluźnierstwo, odpowiada czymś na kształt przypowieści:

– [...] W Kalińcu pod kościołem siedzi w pudełku z łachmanami taka postać, bo trudno to nazwać człowiekiem. Istota wielkości rocznego dziecka. Kretyn. Pokraka. Nie słyszy, nie widzi, nie mówi. Zamiast twarzy – jakieś takie okropne miejsce oznaczone zaczątkami oczu, nosa i ust. Kładzie mu się groszaki na rękę... taką jak dłoń embriona czy niemowlęcia. Pamiętam to od dziecka. Moja matka jeszcze go czy raczej „t o” pamięta. Czym to jest w świetle nauki o nieśmiertelnej duszy? Jak oświecić ten stwór łaską boską, jak zbawić, jak potępić? – załkała prawie. – Jedynie tylko, jeśli przyjąć, że nieśmiertelne i wieczne jest społeczeństwo i dzieło jego cywilizacji i przenikająca je dusza zbiorowa, można jakoś pogodzić się z tym upośledzonym szczegółem całego, zdrowego organizmu. (NiD IV, 183; wyróżn. moje – K.C.)

Sądzę, że w owej nagle przywołanej figurze tego<sup>33</sup>, Rzeczy<sup>34</sup> bez twarzy, streszcza się lęk Agnieszki, nawiedza ją, jak nawiedza Barbarę w małym Tomaszku (jeden z tych sekretnych punktów przecięcia, w których jest cała maestra kompozycyjna *Nocy i dni*, nie wyrozumowana – jak podkreślała stanowczo sama Dąbrowska<sup>35</sup> – ale żywiołowa i „samorodna”). Rzecz, którą matka i córka egzorcyzmują, wypychają ze zgrozą za własny obręb, chcąc definitywnie uczynić cudzą, wraca, dotykalna i niezniszczalna. Postać, istota, stwór – powiada Agnieszka, jak mówiła Barbara – nie można przecieżyć tego nazwać człowiekiem, człowiek to ja, która widzę i mówię, i wiem, co mówię. Kretyn, pokraka –

<sup>32</sup> T. Drewnowski, *Rzecz...*, dz. cyt., s. 199.

<sup>33</sup> Zwłaszcza że, jak wprost pisze Freud, „«To» nie może powiedzieć, czego chce” (S. Freud, „Ja” i „to”, dz. cyt., s. 262). Por. J. Laplanche, J.B. Pontalis, *Słownik psychoanalizy*, pod red. D. Lagache’a, przeł. E. Modzelewska, E. Wojciechowska, Warszawa 1996, s. 330–332.

<sup>34</sup> Zob. np. hasło „Thing”, [w:] D. Evans, *An Introductory Dictionary of Lacanian Psychoanalysis*, London & New York 2006, s. 207.

<sup>35</sup> Uprzedzając zarzuty, w rozprawie poświęconej *Nocom i dniom* broniła się ich autorka przed przypuszczeniem, że powieść, którą opatruje się taką glosą, wzrosła pod znakiem zimnej nadświadomości. Pisała tam: „Wyjaśniając pewne zasady kompozycji *Nocy i dni* oraz istotę niektórych wątków tego dzieła, nie chciałam bynajmniej powiedzieć, że ten mój utwór powstał na mocy wyrozumowanych przesłanek. Przeciwnie, tworzyłam go «na gorąco», a wizja świata, który się w mej wyobraźni kształtował, była przez cały czas tak żywa i bezpośrednia, że ludzie *Nocy i dni* sami niejako narzucali mi czy dyktowali tok swoich dziejów. I jeśli mówię tu o zamierzeniach i logice w ich przeprowadzeniu, to mówię o zamierzeniach i o logice twórczej woli artystycznej, kierowanej wybierającym instynktem. Intelkt odgrywał tu tylko rolę kontrolującą i porządkującą to, co nazywamy natchnieniem artysty” (M. Dąbrowska, *Kilka myśli...*, dz. cyt., s. 598–599).

tajemnicze, odrażające coś, otchłań, od lat biorąca bezzwrotnie w siebie to, co jej dają, przejmująca grozą, niepoznawalna. Otwarta rana zdrowego na pozór organizmu. Trauma i ból.

Jakkolwiek dojmujące i intensywne są tego typu pograniczne przeżycia, ma się wrażenie, że Agnieszce po prostu się przydarzają, że w najgorszym razie ją napastują, zakłócają – na moment – jej równowagę. Większość ich przypada komu innemu, kto w przeciwieństwie do apollinińskiej, ojcowskiej, mocnej Agnieszki jest im przypisany, przez nie określany, przez nie tworzony. Barbara, nowoczesny podmiot *Nocy i dni*, wie o tym wszystkim zadziwiająco dobrze, ale nie pozostaje na poziomie wiedzy intuicyjnej, chce rzecz wysłowić, krąży wokół twardej definicji swojego stanu, sama chce postawić sobie diagnozę. Jest przeświadczona o tym, że wszystko złe, co ją unieszczęśliwia, odbiera możliwość odczuwania rozkoszy, musi być

wynikiem jakiegoś braku; powstawało w niej niejasne, ale przejmujące poczucie tego braku, którego naturę trudno jednak było odgadnąć. [...] Błyskały mgnienia, kiedy uciuwała, że to, czego jej brak, nie należy do rzeczy z tego świata. A w takim razie, czy jedynym lekarstwem nie byłoby po prostu umrzeć i złączyć się już na zawsze z czymś niosącym pociechę i ukojenie, z czym tu na ziemi złączyć się nie mogła, nie umiała... (NiD II, 271)

Własne istnienie jawi się Barbarze jako pomyłka, coś nienaturalnego, niewłaściwego, skaza i błąd:

– Bogumił, wyrzuć mnie. Wyrzuć mnie z domu na dwór. Przecież ja jestem do niczego. Na co ci taka żona? Zamęczam was tylko [...]. Wyrzuć mnie i weź sobie jak się należy kobietę. (NiD II, 268)

Braku, jaki odczuwa, nic nie zasklepi. Coś go może przesłonić, ale on jest: przerwa w łańcuchu znaczących, która trwa zawsze. Tak odbiera siebie (w chwili upadku) i Maria Hłasko, ale jej brak opuszcza sferę domysłów, daje się rozpoznać jako obecność owszem, nieusuwalna, lecz i bezcenna, Maria Hłasko bowiem odkrywa prawdę, że brak to świadomość, a „ta świadomość to mój skarb, to właśnie ja! I jakkolwiek cenę musiałam za nią zapłacić, nie wyrzekłabym się jej nigdy!” (NiD III, 131). To właśnie brak (rana, luka, pęknięcie) czyni Barbarę wiecznie i panicznie spragnioną trwania, pewności, budzącego ufność zakotwiczenia<sup>36</sup>. Barbara chce, żeby w zatrzważająco bezładnym świecie zdarzeń przygodnych i niczym ze sobą nie związanych odsłoniło jej się nareszcie coś, co się stanie gruntem, rękojmią sensu.

<sup>36</sup> Jak trafnie pisał, streszczając poglądy Dąbrowskiej w tej materii, Andrzej Mencwel, „Człowiek staje się człowiekiem wtedy, kiedy zwycięża żywioł i opanowuje chaos – w sobie i wokół siebie. Ponieważ dany mu jest tylko żywioł i chaos” (A. Mencwel, *Jeden aforyzm (próba interpretacji)*, [w:] *Księga kaliska. W stulecie urodzin Marii Dąbrowskiej*, pod red. T. Drewnowskiego, Z. Libery i E. Steczek-Czerniawskiej, Kalisz 1996, s. 14).

Patrzyła na chmurzące się niebo. Po tle świecącym od skrytego w mgłach słońca mknęły popielate rozwiane obłoki. Mknęły coraz to inne, lecz obraz nieba pozostawał niezmienny.

– Cóż stąd, że umieramy? Życia jest wciąż tak dużo – majaczyła pani Barbara. – Wszystko mija, a nie się, nie się nie zmienia. Po złotym tle wciąż płyną szare obłoki... O, jak mnie ta myśl uspokaja – westchnęła. I powstało w niej coś na kształt błagania, by można było żyć zawsze tą myślą, tym spokojem. (NiD I, 239)

Był już taki okres w życiu Barbary, okres wielkiej ulgi, odpływu lęku. Gargantuiczny, rozpisany na lata moment ekstazy. To czas, w którym żył Piotr, jedyne być może z czworga dzieci, które kochała.

Syn był teraz ich stanowiskiem na świecie, a oni pokrótce i po prostu Barbarą i Bogumiłem, rodzicami Piotrusia; zajęciem ich było nie gospodarstwo, ale miłość do syna. Zdarzenia i zjawiska nabrały teraz innych kształtów, inaczej miały się do siebie. Wszystko poza synem stało się życiowo i praktycznie mało ważne, a przez to stało się ważne w inny sposób. Świat przestał być miejscem zabiegów, borykań się i strachów, stał się godny zachwytu. Rzeczy obróciły się ku pani Barbarze swoim jasnym, oświetlonym obliczem. Niczego nie pożądała, a wszystkim czuła się obdarzona. Była szczęśliwa. (NiD I, 101)

Przy czytaniu tej sceny łatwo można przeoczyć istotny fakt. W opisie swych nieomal mistycznych doznań związanych z synem Barbara zaczyna wprawdzie od podkreślenia, że przemiana dotyczy zarówno jej, jak jej męża, lecz już po chwili w sposób naturalny i bezbolesny rezygnuje z fikcji równorzędności, ograniczając opowieść do samej siebie; wie przecież doskonale (tak jak i my), że to jej głównie potrzeba zabezpieczenia, „zapikowania”<sup>37</sup> w istnieniu, jakie dziecko rzekomo daje obojgu. Po latach wypełnionych „wiecznym zmartwieciem” Barbara wraca do tej odległej sprawy i tak ją widzi:

Świat był dla niej zbiorowiskiem ludzi i rzeczy potracających się, rzadziej wspomagających się wzajem, ale niemających ze sobą żadnej istotnej wspólności. Chaos i samotność czuła w sobie i koło siebie, a czyż może być coś budzącego większą trwogę niż poczucie chaosu i samotności?... Był czas, już po utracie Toliboskiego, kiedy myślała, że tylko jakieś nowe szczęście osobiste może dać jej poczucie ładu i spoistości bytu. I znalazła to szczęście w Piotrusiu, w miłości do tego dziecka. Po jego śmierci świat chyba już na zawsze był dla niej w gruzach i ona była już nie cegłą w budowie, ale szczątkiem rozsypujących się gruzów. (NiD III, 355)

W czasie żałoby ową całkowitą dezintegrację odczuwała Barbara jeszcze potężniej. Świat nie wydawał się wtedy groźnie irracjonalnym nadmiarem zjawisk, których nie można ponownie zmusić do tego, żeby znaczyły. Świat po prostu zniknął, dosłownie nie był.

– Przecież tu już nikogo nie ma. Nieraz siadamy do stołu, a mnie jest tak, jakby nikogo nie było, jakby nas nawet nie było. Ciągłe mi się zdaje, że my na kogoś czekamy [...]. (NiD I 135)

<sup>37</sup> Zob. hasło „point de capiton”, [w:] D. Evans, *An introductory dictionary...*, dz. cyt., s. 151. Por. S. Žižek, *Wzniosły obiekt ideologii*, przeł. J. Bator, P. Dybel, wstęp P. Dybel, Wrocław 2001, s. 127.

Oczywiście czekali, a właściwie czekała sama Barbara: na odrodzenie ładu, sensu, znaczenia. Tu wypada wrócić na moment do Agnieszki. Spróbujmy zatrzymać ją i przychwycić w tym, co mimo wszystko czyni ją, już dorosłą, jak się zdaje trochę wbrew własnej woli, córką Barbary. Córką na grobie ojca.

Kiedy Agnieszka [...] wracała z cmentarza od grobu ojca, upalny wicher wiał jej w twarz, wznosząc kurz wydętymi falami i rozpinając go w powietrzu niby przezjrzyste, nikłe żagle. Przewór był nie błękitny, lecz siny, pył uwierał pod powiekami. Świat wydał się Agnieszce niespokojnym, odartym z sensu i wartości chaosem, wśród którego miotają się, godni najwyższego pożałowania – matka, rodzeństwo, wszyscy ludzie, wszelkie istnienia. (NiD IV, 311)

Jak widać, w powieści ogląda się pejzaże przez impresjonistyczny, młodopolski, własny pryzmat, tak że krajobraz staje się emanacją, uzewnętrznąoną nagle wewnętrzną chwilą. Równie często zdarza się jednak tak, że bezkształtne jądro rzeczywistości daje się odczuć w sposób bardziej intymny i bezpośredni: we śnie i na samym snu pograniczu, tam, gdzie traumatyczna senna rzeczywistość niepostrzeżenie przechodzi w rzeczywistość jawy. Pierwsza powieść Dąbrowskiej nie jest tak wypełniona senną materią jak powieść druga, której całe partie stanowią sny, w znakomitej większości niemal dosłownie przepisane z dzienników, mające zbliżyć ją po trosze do awangardy. W *Nocach i dniach* pełnią one raczej rolę dyskretnych przejść do wnętrza rzeczywistości fantazmatycznej, pozostającej w pełnym znaczenia związku ze swoją twardą, symboliczną otoczką. Tak śni Barbara:

Zaczęła [...] biec, ale biegnąc, czuła, że rozpada się na kawałki i że nie może pozbierać ni nóg swoich, ni rąk, ni sukien. Wszystko to rozpraszało się i zamieniało jakby w piasek. Zbudziła się z niewypowiedzianym strachem w całym jestestwie. [...] Nagle [...] ujrzała jaskrawo śmierć Lucjana w całej grozie jej wszystkich szczegółów. Widok ten posiał w niej – czego nie doznała była wówczas – okrutną pewność, że wszystko co jest, jest prochem, na chwilę tylko organizującym się w żyjące, przytomne kształty. [...] Nic nie pokona straszego prawa natury, nie powstrzyma absurdalnego biegu rzeczy, w którym życie człowieka jest wybrykiem zdolnym trwać tylko мгновение i zmuszonym nieuchronnie przeobrazić się w pył wirujący. Przecież nawet religia mówi: „Z prochuś powstał, w proch się obrócisz”. Nie ma tam ani słowa o duszy. – To wszystko dorzucili dopiero później – pomyślała z rozpaczą. [...]

– Co mnie za myśli napadły? – zdziwiła się. – Co za myśli w ten dzień wesela. Wesela – powtórzyła szyderczo. (NiD III, 383)

Upalny wicher (to chyba on jest właśnie tym „wiatrem w oczy” obecnym w tytule tomu) niesie z sobą – donikąd – przezjrzysty kurz. Myśl o prochu, pyle wirującym, którym – sądzi Barbara – także ona sama wkrótce się stanie, zdaje się religijną archezasadą, wyprzedzającą miłosierną fikcję nieśmiertelności. Sen przemienia ciało śpiącej Barbary w substancję dziwną, skłoną do rozsyпки i rozproszczenia, jakby w czystą entropię, esencję śmierci. Esencja ta jest podobna do piasku, nie jest piaskiem, ale jest mu pokrewna. Frazeologiczne konteksty „piasku” i „piasków” przywołał Ryszard Nycz za słownikiem pod redakcją Doroszewskiego:

przynoszą [one – dop. mój – K.C.] znaczenia: czegoś martwego, związanego ze śmiercią („gryźć piasek”), bezkształtnego („tuman piasku”), nietrwałego („budować na piasku”), nieautentycznego i kłamliwego („pływać po piasku”, „piaskiem w oczy sypać”), przeszkody i sytuacji niepomyślnej („nasypali piasku”, „osiąść na piasku”), usiłowań skazanych na niepowodzenie i niepamięć („kręcić bicz z piasku”, „piasek niepamięci”).<sup>38</sup>

Wszystko to wątki dla postaci Barbary nader istotne. Kurz i pył także w znacznym stopniu się z nimi łączą. Pozostaje wspomnieć o jeszcze jednym materialnym tropie tego rodzaju, którego funkcja jest jednakże w powieści bardziej złożona. Popiół, substancja nieskończenie ulotna, ledwo uchwytna, wywołująca skojarzenia z delikatnością, dziewiczością, czystością (także kapłańską, jak w przypadku westalek), z szansą odrodzenia, drugiego przyjścia (jak w przypadku Feniksa), a zarazem z żałobą, krzywdą, upadkiem<sup>39</sup>, zjawia się w *Nocach i dniach* zaledwie dwukrotnie, ale, co ważne, zjawia się tylko w jednym, ścisłym kontekście – wyznań miłosnych – pozwalającym zrobić dobry użytek z różnorodności kodowanych przez niego sensów.

– [...] A czymże ja byłbym dziś – powiada Agnieszce dopiero co poślubiony Marcin – żeby nie ty?... Garstką zhistryzowanych popiołów.

– No, to zamieniliśmy role. Bo ja się dziś czuję garstką popiołów.

[...] Marcin [...] nie mogąc pokonać senności, zaczął bredzić – to ja tę ruinę... tę garstkę popiołów... nie... gruzów... ścisnę i... połknę... i będę mieć w sercu... i nie uciekniesz więcej... (NiD IV, 107–108)

Zanim jednak przyjdzie w powieści pora na tę podszytą sennym bełkotem wizję zjednoczenia absolutnego, padnie tam inne, choć podobne wyznanie.

– [...] Ja już jestem, dziecko, popiołem tylko po dawno wygasłym ognisku – mówi Bogumił, chcąc się jakoś bronić przed kataklizmem, bo tak właśnie odczuwa miłość Ksawuni i, by do reszty pogłębić samego siebie, pyta:

– Jakże zaczynać życie z popiołem? (NiD III, 183)

Popiół – twierdzi Derrida w swym *Feu la cendre*, a z nim Andrzej Zawadzki w swej pracy o myśli słabej – „jest tym, co pozostaje, resztką po czymś, czego właściwie nie było, i która nie powinna pozostać, milczącą nieobecnością, czymś, co zarówno zachowuje, jak i traci ślad po osobie, która odeszła”<sup>40</sup>. A jednocześnie przecież, kruchy i słaby, jest obecnością i jest właśnie mocą owej słabości, stawiającą opór zanikowi i rozproszeniu. Tak zdaje się rzecz widzieć również Ksawunia, gdy samooskarżenie Bogumiła niweluje żarliwą apoteozą, łowiąc i gubiąc w uniesieniu właściwe słowa:

<sup>38</sup> R. Nycz, *Literatura jako trop rzeczywistości. Poetyka epifanii w nowoczesnej literaturze polskiej*, Kraków 2012, s. 193.

<sup>39</sup> Zob. B. Bettelheim, *Cudowne...*, dz. cyt., s. 392–393.

<sup>40</sup> A. Zawadzki, *Literatura a myśl słaba*, Kraków 2010, s. 212.

– Nie – zaprzeczyła. – Co za popiół! Co mnie obchodzą lata. Czy tobie nikt nie mówił, jak wyglądasz? Cały jesteś taki brązowy i błękitny, jak granit, jak powietrze, jak nie wiem co. (NiD III, 184)

I taka jest sama rzeczywistość *Noce i dni*: sypka i rozwiewna, krucha, a przecież zdolna zachować ślad, z własnej ambiwalencji czerpiąca siłę, umiejętność trwania pomimo wszystko.

Karolina Chyla

#### DARK EPIPHANIES IN MARIA DĄBROWSKA'S *NIGHTS AND DAYS*

##### Summary

This article explores the darkened and rarely visited zones of Maria Dąbrowska's *Noce i dni* [*Nights and Days*] (1932–1934), a tetralogy of novels usually read as a realist family saga. In its broad panorama children and childhood have a very important place, yet what seems to have largely been ignored is the enigmatic nature of childhood and child's role as a locus of mystery. With the help of tropes of the folk imaginarium (primarily the iconic Grimms' *Fairy Tales*), and conceptual tools borrowed from Sigmund Freud, Bruno Bettelheim, Jacques Lacan and Julia Kristeva, the article analyzes Dąbrowska's multi-layered and elusive characters, caught up in an endless strife trying in vain to tame the chaos within themselves and to get to grips with the threatening uncanniness of the world outside.

**Key words:** Polish literature of the 20<sup>th</sup> century – the panoramic novel – the child and childhood in the novel – psychoanalysis – the uncanny – Maria Dąbrowska (1889–1965).

**Słowa kluczowe:** Maria Dąbrowska, *Noce i dni*, nowoczesność, dzieciństwo, psychoanaliza.